DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II. — Poznań, 1 października 1889 r. — Nr. 28.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski" w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol." kosztuje 40 f.

Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

O WYCHOWANIU.

(Ciąg dalszy.)

Do najbrzydszych, a tak bardzo rozpowszechnionych wad należy kłamstwo, które staje się podstawą wszelkiego złego. Dzieci mają wielką do kłamstwa skłonność i łatwo do niego nawykają, jeżeli rodzice nie starają się zawczasu temu szkaradnemu nałogowi tamy położyć, gdy — przeciwnie — bawią ich „improwizacye" dziecka, gdy cieszą się z dowcipu kłamliwego, które w mylnem ich mniemaniu zapowiada bujną fantazyą, pojęcie wyższe i bystrość rozumu. Opowiadano nam o pewnym chłopczyku, który, mając lat sześć, niestworzone improwizował dziwy: „Wsiadłem wczoraj na cztery konie, odziałem się dwoma niedźwiedziami i pojechałem na polowanie. Zastrzeliłem z dwóch fuzyi dziesięciu zajęcy, pięciu wilków, cztery szopy i t. d." — Wszyscy śmiali się do rozpuku, a dzieciak kłamał coraz bardziej. Wyrósł też na takiego łgarza, że dzisiaj nawet, choćby prawdę mówił, nikt mu nie wierzy.

Znaliśmy dziewczynkę na pensyi, która towarzyszkom swym opowiadała o bogactwie i dostatkach swych rodziców, mieszkających na wsi, o starożytnych, rodzinnych srebrach, drogocennych biżuteryach, jakie posiada jej matka; opisywała ze szczegółami wspaniałe urządzenie salonów, pałac, ogród, park i zwierzyniec — iście niby w bajce cudownej — wspominała o licznych zjazdach gości, o wyprawianych ucztach i polowaniach, o odpowiedniej do domowego komfortu służbie. Z początku wierzono jej, zazdroszczono nawet i ubiegano się o przyjaźń miłej zresztą i sprytnej dziewczynki; ale wkrótce skromne, podniszczone dwie sukienki, jakie całą jej stanowiły garderobę i skromniejsza jeszcze bielizna podały w podejrzenie owo wielkie bogactwo — wreszcie się kłamstwo wydało, a ciekawe, złośliwe koleżanki, zacząwszy dochodzić, sprawdziły wkrótce, że panienka jest córką ubogiego dzierżawcy folwarku, z którego dochody zaledwie na najniezbędniejsze potrzeby domowe wystarczyć mogą. — I cóż zyskała?... wyśmiano ją, wyszydzono; pokąd została na pensyi prześladowano ją ironicznem dopytywaniem o antenatów w siermiędze, o włości na księżycu, o brylanty familijne! —

Inna znów panienka w inny znów sposób kłamała; ile razy co stłukła, zepsuła, zawsze na kogoś winę zrzucała tak wprawnie i zręcznie, że jej uwierzono. Oskarżała niesprawiedliwie domowników i sługi przed matką, komponując nieprawdopodobne bajki, a matka zaślepiona wierzyła, lub udawała, że wierzy. Nałóg ten nieszczęsny, nietamowany niczem, wzrastał coraz bardziej i popsuł całkiem jej charakter, a nabrał znaczenia, rozległości i przewagi, gdy została żoną i panią domu. Wszystko w niej stało się kłamstwem; wszystko, cokolwiek posłyszała, powtarzała, przekręcając, sama częstokroć już i nie wiedząc o tem; wiadomo, że nałóg staje się nieraz drugą naturą.

Gdy dziecko przyniesie matce oskarżenie, lub plotkę na rodzeństwo, domowników, sługi, powinna nie słuchać wcale i zganić to dziecku. Jeżeli je posłucha, a co gorsza zachęci do znoszenia jej wszystkiego, cokolwiek ono zobaczy i usłyszy — niech pamięta, że dobrowolnie sama się przyczynia do wzrostu złych skłonności w duszy swego dziecka. Z początku będzie ono donosiło, co rzeczywiście pochwycić zdoła i zaraz z tem, niby kuryer, do matki pogoni; później podsłuchiwać będzie u drzwi, zacznie dodawać, improwizować, czego nie dosłyszy, kłamiąc tym sposobem; wzrok i ucho staną na ciągłej straży — będzie domowym szpiegiem i donosicielem. Zwyczaj podsłuchiwania pode drzwiami, niewykorzeniany za młodu, staje się niebezpiecznym nałogiem; znamy starsze osoby, które zohydzały i oczerniały inne na mocy podsłuchiwanej u drzwi rozmowy; z pochwyconych pojedyńczych wyrazów, a nawet z niepochwyconych przy pomocy zbyt wybujałej fantazyi a zupełnego braku serca układały całe kłamliwe anegdoty, szarpiące dobre imie i opinią nienawistnych oszczercom osobistości.

Zgubny wpływ wywiera na charakter dzieci, gdy słyszą, jak starsze osoby, mianowicie ich właśni rodzice źle mówią o nieobecnych. A jak to często się zdarza — nawet wśród rodzin wykształceńszych, gdzie rodzice mają pretensyą, iż — sami „dobrze wychowani" — dobrze też wychowują swe dzieci!... Jak często się zdarza, że nietylko wobec starszych, ale wobec kilkoletnich dziatek matka, lub ojciec, albo nawet oboje obmawiają, spotwarzają, zohydzają osobistości im niemiłe — bawią nieraz towarzystwo całe improwizowanemi na ich koszt skandalicznemi anegdotami, odzierają je z czci i dobrego imienia — zapominając nietylko o najważniejszem z przykazań:

miłości bliźniego, które nietylko sami praktykować, ale od najrańszej młodości wpajać winni w serca swych dziatek, ale nawet o pogwałceniu wszelkich towarzyskich form przyzwoitości!... Jak często i to się zdarza, że rodzice wobec dzieci uprzejmi dla gościa, ledwie się drzwi za nim zamkną, krytykują go, wyśmiewają i wyszydzają! — Dziecko, póki małe, zwykło za wyrocznię uważać rodziców, to też — bystrzejsze mianowicie — obserwuje pilnie ich postępowanie, przysłuchuje się wszystkiemu, potem zaczyna wtrącać się także i pierwsze przedrzeźnia, wyśmiewa! — toż zły przykład idzie z góry. Biada rodzicom, którzy zamiast to zganić, skarcić nawet, z pobłażliwym uśmiechem słuchają, przytakują, cieszą się nawet nad wcześnie — jak sądzą — budzącym się darem obserwacyjnym swego malca! — Sami tym sposobem przykładają rękę do zepsucia serc młodych, które własnego rozeznania mieć jeszcze nie mogą i wielką na siebie ściągają odpowiedzialność przed Bogiem. — Doświadczenie zresztą uczy, że dzieci w złym rozwijane kierunku, z wyobraźnią wcześnie brudnemi podniecaną obrazami, z sercem obłudą i fałszem przesiąkłem tępesą do nauki; ich umysł, nawykły błądzić wśród ciemności, rażą jasne prawdziwych cnót promienie i słoneczne blaski wiedzy!... W dziecku tak wcześnie z gruntu zepsutem trudno potem nauczycielom obudzić zamiłowanie do najwznioslejszych idei: dobra, prawdy i piękna! — Zdrowy posiew szkoły nie wyda pożądanych plonów na nieuprawnej przez dom rodzicielski roli serca dziecięcia; runie gmach wiedzy, przez szkołę wzniesiony, jeśli dom rodzicielski nie stawił mu fundamentów! —

Niech o tem młode przede wszystkiem pamiętają panienki, że uśmiech ironii, sarkazmu, złośliwości najpiękniejszą, czysto greckiego typu twarz o płci liliowej z róży odcieniem oszpeci tak dalece, że każdy z niechęcią się odwróci. Gdy przeciwnie szlachetność wewnętrzna twarz nieładną nawet upiększyć zdoła, bo piętno ducha jedynie prawdziwem jest pięknem. — Szyderstwo, wyśmiewanie drugich jest znamieniem złego serca i zarozumialstwa, które niższe jest jeszcze od zarozumiałości. Osoba z temi narowami szczerych przyjaciół pozyskać sobie nie potrafi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

HISTORYA JAKICH WIELE.

Przez F. F.

Z języka niemieckiego tłomaczyła

ANNA PILASKA.

(Ciąg dalszy)

Roberts pobladł śmiertelnie.

— Więc i- ty dzielisz to przekonanie, powtórzył bezdźwięcznie, cofając się w tył mimowoli. — Nie, nie wierzę temu, abyś ty mogła myśleć podobnie! Czyżby cię to nie oburzało, gdyby człowiek, którego pokochałaś, znosił spokojnie obelgi, przez takiego nędznika, jak Holstein, wyrządzane? — czyżbyś nim nie pogardzała za brak honoru i ambicyi? Cierpiałem już nad tem niemało, że ojciec twój tego samego wieczora drzwi mu nie pokazał — powinien był to zrobić przez wzgląd na mnie i na ciebie.

— Holstein jest przyjacielem mego ojca.

— Jakto! więc przyjaciel ojca może obrażać narzeczonego jego córki bezkarnie? I ty podzielasz to zdanie — dla czego nie powiesz mi, że Holstein jest także i twoim przyjacielem?....

— Jest nim — odparła stanowczo — widocznie urażona.

— Nawet i po tem, co między nim a mną zaszło? —

— Zawsze nim zostanie!

Zamilkł, nie będąc w stanie przemówić ani słowa — tylko oczy jego spoczywały nieruchomie na stojącej przed nim ślicznej kobiecie, z której ust wybiegły przed chwilą tak nielitościwe, bolesne dlań wyrazy.

— On twoim przyjacielem! zawołał nareszcie krótkim, urywanym głosem. — A tak — przecież całe miasto mówi o tem, w co ja tylko dotąd wierzyć nie chciałem!

I uderzywszy się ręką po czole — wybiegł z pokoju.

Została sama. Przez chwilę zdawało się, że pobiegnie za nim, lub zawoła, aby go zatrzymać — lecz ze zbladłych usteczek nie wyszło żadne słowo pojednania, żadna prośba serdeczna.

Wtem drzwi otworzono i do pokoju wszedł bankier — podchodząc z żywością do córki.

— Poszedł sobie i zapewne nie wróci — odezwał się, głaszcząc pieszczotliwie jasną jej główkę. — Cieszę się, że do tego przyszło, gdyż prawdopodobnie nie byłbym nigdy na to małżeństwo zezwolił.

Milczała, a łzy płynęły zwolna po jej ślicznej, kredowo białej twarzyczce.

— Byłem nierozważny — ciągnął dalej bankier — ze na wasze zaręczyny przystałem — żałowałem, kiedy już było za późno — lecz na szczęście głupstwo jeszcze naprawić się dało.

— Byłam dlań okrutną i niesprawiedliwą — szepnęła Berta z wyrzutem.

— Bynajmniej, drogie dziecię, odparł pospiesznie. Postąpiłaś, jak tego twoje dobre imie, twój rozsądek, a wreszcie moja prośba wymagała.

Potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

— Holstein obraził go bez żadnego powodu, mówiła dalej głosem, przez łzy tłumionym — on nie mógł znieść tego spokojnie.

— Holstein uczynił to na moje żądanie, odparł, marszcząc brwi gniewnie. — Drogie dziecię, dodał z czułością, nie dręcz się tak niedorzecznemi myślami. Tyś go na prawdę nie kochała, Berto, jesteś jeszcze tak młodą, cały świat dla ciebie otwarty; czyż miałbym cię, jedyne moje dobro, szczęście mego życia, oddać człowiekowi, który sobie nigdy żadnego nie wyrobi stanowiska? Nie przeczę, że ma zdolności, lecz wszyscy przełożeni skarżą się na niego, że zawód swój, jako zabawkę, traktuje — że się za mędrszego i doświadczeńszego od nich uważa. Przez wzgląd na mnie patrzano na niejedno przez szpary — lecz teraz wszystko ustanie. Mogłaś, sądząc z jego postępowania z Holsteinem, sama się przekonać, jak tytuły i stanowisko lekceważy. Wiesz przecież, że go wyzwał na pojedynek i jedynie pobłażliwości Holsteina zawdzięcza, że nie został należycie za to ukaranym, chociaż go to i tak nie minie.

— Był dla mnie i dla ciebie, ojcze, zawsze z takiem uszanowaniem — i nigdy niczem względem nas nie zawinił.

— Ma się rozumieć, że nie, odparł ironicznie. — Był na to za mądrym, aby sobie zrazić mnie, lub ciebie, jeżeli dążył do pozyskania majątku, który ci się kiedyś po mojej śmierci dostanie.

— Nie, ojcze, przerwała z żywością. Mów, co chcesz na niego, tylko go o wyrachowanie nie posądzaj — gdyż ja nigdy nie uwierzę temu. Jestem pewną, że pokochałby mnie, chociażbym żadnego majątku nie miała, znam jego charakter zbyt dobrze, aby go módz o nieszlachetność obwiniać!

Bankier słuchał cierpliwie z szyderskim nieco na ustach uśmieszkiem.

— Poznałaś go takim, odpowiedział spokojnie, za

jakim chciał się w twych oczach przedstawić! Mnie jednak ta powierzchowna znajomość charakteru i usposobienia jego nie wystarczała — zasięgałem wszechstronnych o nim wiadomości i — wyznać muszę — że były jak najgorsze. Obojętni ludzie potwierdzali jednogłośnie to, czego ja się, niestety! dawno domyślałem. Ale nie mówmy o tem. Przyrzekłaś mi, że postarasz się go zapomnieć — o niego nie obawiaj się, że zbyt długo cię w swem sercu nosić będzie. Zanim miesiąc upłynie, o powtórnych jego zaręczynach z jaką bogatą dziedziczką usłyszymy!

To mówiąc ucałował czule córkę i wyszedł z pokoju.

Młoda dziewczyna, zostawszy sama, pogrążyła się w bolesnej zadumie. Stosując się do życzenia ojca — zezwalała na widoczne nadskakiwania Holsteina, stłumiła miłość dla Robertsa w swem sercu, nie dozwalając przecież zachwiać się w mniemaniu, że był szlachetnym, że ją kochał szczerze. Gdyby powrócił do niej w tej chwili, wyznałaby mu, że jedynie na życzenie ojca była dlań tak okrutną i nielitościwą, że serce jej zawsze wyłącznie doń tylko należeć będzie. Ale już było zapóźno! Zapóźno — ponieważ bankier zaraz po rozmowie z córką napisał sam do Robertsa donosząc mu o zerwaniu zaręczyn i prosząc nietylko w swojem, lecz i w córki imieniu, aby wizyt swych nadal zaprzestał.

Roberts przeczytał list bankiera z uśmiechem na ustach — śmiertelna bladość i nerwowe drżenie zdradzały dobitniej, niż słowa — co cierpiał.

W przystępie rozpaczy myśl o skróceniu życia, pozbawionego nagle wartości, coraz częściej i uparciej wracała mu do głowy. Gdyby umarł, odzyskałby spokój, którego tak pragnął bardzo — zagasiłby płomień, co jego wnętrze pożerał. Lecz potem naraz życie wydało mu się tak szalenie wesołem i przyjemnem — że myśl o śmierci przerażała go prawie. Nacoż mu było przedwcześnie umierać — czyż go tak wielki spotkał zawód i cierpienie? Nic więcej prócz tego, że wierzył w miłość szczerą i prawdziwą, w zupełne szczęście — którego na ziemi nie ma!... Sam sobie był winien, że, dzięki swej naiwności, uwierzył w przywiązanie i wierność kobiety!

Doktor Paulson przerwał swem wejściem tę bolesną zadumę.

— Tyś chory, Stefanie, zawołał przerażony bladością przyjaciela.

— Nic, nic mi nie jest, odparł z wymuszoną wesołością. — Posądzasz mnie może, że się w tajemnicy przed tobą z Holsteinem pojedynkowałem? Jesteś moim przyjacielem, Henryku, więc byłbym cię w każdym razie poprosił na świadka, abyś się strachem tego tchórza mógł ubawić. — Zapewniam cię, że jestem zdrów zupełnie i chociaż cały świat kłamie — moim słowom jednakże wierzyć możesz.

Paulson potrząsnął smutnie głową, wiedząc, że Roberts ukrywa przed nim prawdę.

— Nie mówisz mi tego, czego chciałbym się dowiedzieć — odpowiedział z powagą. — Dla czego nie byłeś u mnie wczoraj?

— Wczoraj, powtórzył zamyślony. — Ach! prawda, wczoraj.... nie miałem czasu, Henryku. Śliczna pogoda skłoniła mnie do dłuższej przechadzki za miasto, a ty, jako lekarz, powinieneś mnie mieć za wytłomaczonego, jeżeli pragnę ruchu i świeżego powietrza. Ruch przywraca zdrowie i wywołuje na twarz rumieńce.

— U ciebie nie ma ich ani śladu.

— Nie — a zatem przechadzka nie pomogła — zapomniałem spojrzeć w lustro, jak wyglądam. Są przecież inne środki na rumieńce — uróżuję się trochę, a kiedy wyjdę na miasto — ludzie za najzdrowszego człowieka uważać mnie będą. Tylko nie zdradź mnie czasem, Henryku!

— Sądziłem zawsze, że przyjaźń nasza zasługuje na zaufanie — odparł Paulson z niechęcią. — Dla czego ukrywasz przede mną to, co twoje oczy, każdy rys twej twarzy widocznie zdradzają? Czyś zwątpił o mojem przywiązaniu do ciebie?

— Nie, Henryku — odparł po dość długiej chwili milczenia, patrząc mu w oczy uważnie. — Jest to jedyna rzecz na świecie, w którą dotąd wierzę — jedyna! Lecz i ją w krótce na próbę wystawię, a wtenczas zobaczę, czy rzeczywiście prawdziwym przyjacielem mi byłeś.

— Bądź tego pewnym.....

— Nie przyrzekaj nic — przerwał mu gwałtownie — tym sposobem nie złamiesz przynajmniej słowa, jeżelibyś miał o twem zapewnieniu zapomnieć!

— Co się stało? — powtórzył Paulson natarczywie pytanie, które już może po raz dwudziesty zadawał.

— Nic — nic — zapewniam cię — więc nie męcz mnie nadal swoją troskliwością — zawołał, ściskając mu rękę serdecznie. — Spojrzyj naokoło siebie, a przekonasz się, że wszystko zwykłym trybem się obraca — słońce świeci — ulice pełne ludzi, goniących za rozrywką, lub zarobkiem — cożby się więc stać miało?

— Nie będę już pytał więcej — nieszczere wyznanie nie miałoby dla mnie żadnej wartości.

To mówiąc, wziął kapelusz i ku drzwiom się skierował.

— Henryku, zawołał Roberts, usiłując go zatrzymać — nie odchodź z żalem do mnie. Jeżeli nie wyznałem ci wszystkiego, co się w mem sercu dzieje, to, wierzaj mi, nie brak zaufania jest tego powodem. Czy myślisz, że nie ma nic innego, coby mnie zmuszało do milczenia? Może nie chciałbym zachwiać twej wiary w ludzi — w miłość prawdziwą!.... Czy nie pojmujesz tego, że są wyrazy, które pomimo chęci nie chcą nam przejść przez usta — które wypowiedzieć trudno? Nie gniewaj się więc na mnie, Henryku, nie mógłbym znieść twej niechęci. Wierzę, że jesteś moim przyjacielem, więc zostań nim zawsze! A teraz żegnam cię — głowa pęka mi z bólu — jednakże ty mi nic nie pomożesz — idź przeto i pozostaw mnie samego.

I uścisnąwszy serdecznie dłoń przyjaciela — sam go ku drzwiom poprowadził.

Doktor Paulson nie opierał się dłużej, wiedząc, że są cierpienia, które najlepiej jest zwalczać samemu!

. . . .

Tydzień upłynął od ostatniego się widzenia dwóch przyjaciół. Paulson niespokojny o zdrowie Robertsa odwiedził go kilkakrotnie w tym czasie — nie zastając go jednakże nigdy w domu. Liczne jego zajęcia nie pozwalały mu zajmować się losem przyjaciela wyłącznie, a zresztą miał nadzieję, że gwałtowne to wzruszenie przejdzie wkrótce, tem bardziej, że młody prawnik poprzednio już nieraz bywał podobnie smutny, zgorzkniały i przygnębiony. W dwa dni po ostatniej jego bytności u Robertsa, którego ponownie nie zastał w domu, doktor Paulson otrzymał najniespodziewaniej piśmienne wezwanie od właściciela kamienicy, w której Roberts od lat kilku mieszkał z prośbą, by natychmiast przybył. Dziwnie przykry niepokój ogarnął go po przeczytaniu spiesznie nakreślonej kartki. — Dla czego Roberts sam nie napisał? Nie ulegało wątpliwości, że zaszło coś złego!

Nie zwłócząc ani chwili, pobiegł do mieszkania przyjaciela — na schodach oczekiwał nań sam gospodarz.

— Coż się stało? — zapytał drżącym głosem, patrząc na pobladłą twarz otyłego kupca, niezwiastującą nic dobrego.

— Proszę, niech pan doktor idzie za mną, szepnął półgłosem, wstępując na schody. — Niktby nie był przypuszczał tego, co się stało — mówił dalej, ocierając zwilżone powieki. — Było to wczoraj.....

Doktor Paulson, nie słuchając go, biegł pierwszy do mieszkania młodego prawnika. Na progu pokoju stanął, jak wryty, a chociaż zawód jego lekarski zahartował mu nerwy — musiał się oprzeć o ścianę, by nie upaść.

(Dokończenie nastąpi.)

KORESPONDENCYA „DOMU POLSKIEGO."

Zpoza kordonu.

Rolników naszych same spotykają zawody. Podania do ministeryum finansów o ulgi w podatkach, wysłane na ręce gubernatorów, zostały zwrócone, jako wyprawione nieodpowiednią drogą z objaśnieniem, że powinny były przechodzić przez kancelaryą rządu gubernialnego, w drodze zaś wszystkie stemplowe marki poznikały z podań. Okoliczność ta zniechęciła do dalszych próśb w tym kierunku.

„Towarzystwo kred. ziem." takie pokładło warunki, że mało kto będzie mógł z jego względności korzystać.

Myśl darowania raty odrzuconą została z góry, jako rzecz niemożebna, rozłożenie rat udzielone zaś będzie tylko tym właścicielom ziemskim, którzy wykażą rachunkami, że dochód tegoroczny nie równa się połowie zwyczajnego dochodu. Rozłożenie dwóch rat na dwa lata następne jest zbyt małą ulgą, aby opłaciło się podejmować trudy i koszta, towarzyszące tej czynności.

Rozłożenie zaś na dłuższe lata wypłat bieżących rat ma być przyznawane tylko takim osobom, które wykażą rachunkowo, że zostały pozbawione całkowitego dochodu, a takich będzie bardzo mała liczba.

Trzeba więc wyrzec się nadziei pomocy skądkolwiek i łatać biedę własnemi siłami. Trudne to nader zadanie!

Polityka rosyjska jednania sobie Słowian w dziwny objawia się sposób. W Warszawie pojawiła się książka p. n: „Głos z ludu o kwestyi polskiej" — napisał C h ł o p.

Nie trudno ogadnąć, jaki to „chłop" w ten sposób przemawia do narodu: najpierw historycznie przechodzi epokę upadku Polski i całą winę tego upadku zwala na szlachtę. Ona to doprowadziła stan rzeczypospolitej do takiego rozprzężenia, że sąsiednie mocarstwa były zmuszone wmieszać się w tę sprawę i rozbiorem zakończyć zgorszenia, oburzające całą Europę.

Dalej ów „chłop" dowodzi, że tylko pod berłem cara rosyjskiego Polska może rozkwitnąć dobrobytem — i byłoby się to już stało oddawna, gdyby s z l a c h t a p o l s k a nie była na zawadzie i nie ciążyła sympatyami ku Niemcom. Autor twierdzi, że nie ma sposobu na przekonanie szlachty, kędy ma szukać szczęścia dla narodu, więc zwraca się do ludzi, stojących poza obrębem tak zwanej kasty szlacheckiej, aby utworzyli stronnictwo silne, garnące się szczerze ku Rosyi, i w tym celu proponuje założenie „Towarzystwa słowiańskiego" t. j. przyłączenie się Polaków do tegoż „Towarzystwa", istniejącego w carstwie.

Książkę tę trzeba uważać za głos rządowy. Lecz czegoż chce ów głos? do kogoż się odwołuje? kogo rozumie pod nazwą szlachty?

Dziwna rzecz — własny rząd nie zna narodu rządzonego!

Wiadomą każdemu jest rzeczą, że szlachta herbowa dziś przeróżne zajmuje stanowiska w społeczeństwie; znaleźć ją można między ludem wiejskim, między rzemieślnikami, przemysłowcami, kupcami, konduktorami tramwajów i kolei żelaznych, między oficyalistami gospodarczymi i fabrycznemi, słowem w s z ę d z i e! — Gdzież jest owa karta szlachecka, którą „Towarzystwo słowiańskie" ma na bok usunąć? Wiadomo też jest każdemu, że ziemiaństwo nasze składają ludzie różnych rodów, a nawet narodowości; że są wśród niego Niemcy, Moskale, żydzi, różni dorobkiewicze i ludzie talentu, jak: Brandt, Siemiradzki, Chełmoński, Andriolli i t. d. Do kogoż ów „chłop„ się zwraca? — Do ludu?... Do jakiego ludu? Lud miejski jest więcej zagorzały w patryotyzmie od szlachty, a lud wiejski jest jeszcze senną, nieświadomą bryłą. Mimo wszystkich umizgów rząd go nie ujął, nie ma świadomości własnego położenia, ani nie zna położenia innych słowiańskich ludów.

W danym razie może tylko być biernym widzem, jak nim był w czasie powstania w 1863 roku, jeżeli nie przerzuci się na stronę mocniejszego.

Kiedy nasi postępowicze zaczęli wymyślać na szlachtę, odpowiedziano im: „Na kogoż krzyczycie, policzcie się pomiędzy sobą, przekonacie się, ilu z was nie ma w sobie krwi szlacheckiej!"

I okazało się, że tylko bardzo mała liczba z pomiędzy literatów wyszła z gminu, a wszystkie pierwszorzędne talenta mogą pieczętować się herbowemi pieczątkami. I okazało się, że owa „z m u r s z a ł a, zwyrodniała, zgłupiała kasta" przewodniczy narodowi inteligencyą — jak dawniej przewodniczyła szablą.

Szlachcicami byli: Mickiewicz, Słowacki, Krasiński, Zaleski, Goszczyński, Garczyński, Kraszewski, Jeż, Kaczkowski, Sienkiewicz, Orzeszkowa, Deotyma, Pług, Duchińska, Konopnicka i inni.

Jakże tu oddzielić tę sól od strawy, głowę od tułowu? Gdzie szukać ludzi, którzyby odrębne chcieli utworzyć stronnictwo?

Na takie to manowce puszczają się ci, którzy nie chcą iść drogą sprawiedliwości, na takie fałszywe sadzą się nawoływania, a tymczasem krępują coraz silniej ofiarę. Cenzura n. p. dostała świeże polecenia obostrzenia działania swego, i rzeczy, które przed rokiem mogły być drukowane w Warszawie, dziś już ulegają wykreśleniu; zabroniono nawet pisać o pobycie cesarza austryackiego w Galicyi.

Nie nauczono się jeszcze tyloletniem doświadczeniem, że cały ów rygor cenzuralny nie doprowadza do żadnych rezultatów. Za czasów Mikołajewskich nie wolno było wspomnieć nazwiska Mickiewicza, po domach robiono rewizye, więziono za wierszyk patryotyczny — a czy dla tego naród nie znał dzieł zakazanego wieszcza?... czy wyrzekł się swych aspiracyi?

Nie i nie! — Dla czegoż więc świat pod tym względem z doświadczeń przeszłych pokoleń korzystać nie umie? — B o w c z ł o w i e k u b i e r z e g o r ę o w a z w i e r z ę c a n a t u r a, l u b i ą c a g n ę b i ć s ł a b s z e g o, z n ę c a ć s i ę n a d n i m! — ona to zagłusza szlachetne poczucia sprawiedliwości.

Do Warszawy zjeżdżają się dopiero letnicy z różnych stron kraju i z zagranicy. Dzienniki mają jeszcze cechą jakiegoś opuszczenia, najważniejsze siły używają odpoczynku, łamy zapychają się odleżałemi artykułami, polemiki przycichły, prowincya, wieś więcej zajmują, niż stolica. Ten i ów literat, wyjechawszy na wieś, opisuje świeżo poznaną okolicę, ludzi, choć rażących przy pierwszem zbliżeniu prowincyonalizmami i odrębnem zachowaniem się, ale w głębi zacnych i ożywionych najlepszemi chęciami dla dobra ogółu.

„Niwa" i „Przegląd katolicki" poruszone zostały do głębi przemową Wirchowa na kongresie antropologicznym, t. j. potępieniem przez niego idei Darwinistycznej. Ten koryfeusz nauki tegoczesnej nie wahał się wyznać głośno, że przypuszczenie, jakoby człowiek rozwinął się z małpy, coraz więcej staje się nieprawdopodobnem, że tegoczesne poszukiwania i odkrycia zamiast potwierdzać teoryą — zaprzeczają jej wyraźnie. Nigdzie nie znaleziono śladów typu przechodniego między orangutanem a Adamem; przeciwnie — czaszki pierwotnych ludzi są większe i szersze, niż przeciętna czaszka dzisiajszej ludzkości — i zbliżają się raczej do czaszek filozofów.

Słowa przedstawiciela wiedzy tegoczesnej zapewne głębokie wywrą wrażenie na umysłach młodzieży; nic więc dziwnego, że pisma konserwatywne przyjęły je z zapałem i pragną uczynić rozgłośnemi. Dla czego jednak inne, chcące uchodzić za prawowierne tygodniki milczą o tym fakcie? Zapewne nie miały czasu zająć się nim jeszcze — a szkoda!... „Niwa" jest niezaprzeczenie jednem z naj-

lepszych pism teraz, odkąd postarała się o urozmaicenie treści i polecamy ją szczerze naszym Czytelnikom.

W ostatnim numerze kronika bieżąca była poświęconą Wielkopolsce pod zaborem pruskim — zaprawdę, warto ją przeczytać. —

A. M.

Prawdziwa kobiecość.

Dobry przyjacielu!

Przekonywam się, iż mężczyzni posiadają pod każdym względem więcej wygody i ułatwień, niżli my, biedne kobiety. I tak, siedząc długo, rozmyślałam, jak rozpocząć moję z Panem pogadankę w formie listu. Gdybym była mężczyzną, a przeciwnie Pan młodą panienką, jakiemże bogactwem nagłówków rozporządzaćbym mogła!

Nazwałabym Pana „Łaskawą Panią“, wiedząc, że tytuł ten zarówno użyć można do siedmnastoletniej, jak do starszej osoby, do panny, jako i do mężatki, lub wdowy; mogłabym również użyć wyrażenia „piękna“, lub nawet „kochana“ przyjaciołko; przy poetycznem usposobieniu: wyrażenia: „muzo“, „rusałko“, byłyby mi nawet może dozwolone. Gdybym przypadkiem i wtenczas poradzić sobie nie mogła, zajrzałabym do książki, zawierającej literackiej, estetycznej, filozoficznej i popularno - naukowej treści listy do kobiet, i wybrałabym najwięcej do gustu przypadający mi napis.

Lecz jakiż nagłówek mam zamieścić w swym pierwszym liście do Pana! Użycie nazwiska obok wielkich rozmiarów wykrzyknika dawałoby wstępowi pozor jakiegoś przedawnionego rachunku, nie zaś przyjacielskiej gawędy. Życiowa proza, której jestem wielką zwolenniczką, stawa na przeszkodzie użyciu jakiegobądź poetycznego wykrzyknika! Mogłabym wprawdzie napisać: „Łaskawy Panie,“ lecz to jest nazwa nic niemówiąca....

Otoż mam!... „Zacny przyjacielu!“ — lecz nowa nasuwa się myśl: obawiam się słusznie, aby mnie o pochlebstwo nie posądzono. Pozostał mi jeszcze jeden nagłówek, którym rozporządzić mogę. Napiszę: „Kochany przyjacielu! — I to nie, to zbyt poufale wobec wielkiego szacunku, jaki mam dla Pana. Lecz pocoż ja tyle przysparzam sobie zachodu, zamiast od razu napisać: „Dobry przyjacielu!“ — tytuł ten dźwięcznie brzmi, a do niczego nie zobowięzuje. Tego więc wreszcie nagłówka użyłam w nadziei, iż on najlepiej do Pańskiego przypadnie upodobania.

A teraz zechciejże mi Pan łaskawie pozwolić, bym szczerze, po przyjacielsku serdeczną rozpoczęła pogadankę.

Przypomnisz sobie zapewne chwilę, gdy razu pewnego, przeróżne poruszając kwestye, poruszyliśmy również owę tak nazwaną: „kwestyą emancypacyi kobiecej“ i granic, których kobiecie przekroczyć nie wolno pod karą odarcia jej z niewieściego uroku. Zdania nasze co do tego przedmiotu nie zgadzały się, a z przyczyny stawianej opozycyi zaliczyłeś mię Pan zapewne do rzędu emancypantek.

Wywdzięczając się pięknem za nadobne, mam zamiar Pana cokolwiek ugniewać; abyś jednakowoż nie miał zbyt złego wyobrażenia o mej zbłąkanej duszy, ograniczę swoję gawędę do skromnie stawianych zapytań, na które może kiedyś odpowiedzieć zechcesz.

Czemże jest rzeczywiście ta „prawdziwa kobiecość“? na czem zasadza się doskonałość tej dzisiaj poniewieranej cnoty?

Czuję na sobie złośliwe Pana spojrzenie — lecz wobec stawionego Mu powtórnie zapytania jesteś Pan nieco zakłopotany, a chcąc się wykręcić — jak to mówią — sianem, odpowiesz mi ogólnikiem, iż znaczenie kwestyi tej już tylokrotnie omawianem było, że dyskurs wszczynany nie posiada racyi bytu.

Prawda, rzecz ta była wielostronnie omawianą, lecz dotychczas rozwiązaną nie została.

Dla pewnej odmiany zamiast o literaturze, sztuce, lub chociażby o zwykłych nowinkach i ploteczkach, pogadajmy o niej. Pan zechcesz tymczasem milczeć, a na dowód wielkiej ze mną cierpliwości listem mym popołudniowe zapalisz cygaro.

W końcu nie zdołasz zaprzeczyć, iż mojem było ostatnie słowo, a posiadanie ostatniego słowa jest cnotą... prawdziwie kobiecą!

Jakież to znamiona kobiecość nosić powinna, aby ją po piętnie tem wygodnie, z daleka rozpoznać można?

Jestże ona tylko czczym wyrazem, który w braku jasnego pojęcia o przedmiocie na pomoc wzywamy, a który wam, Panowie, przede wszystkiem ogromne oddaje usługi?

Ja śmiem twierdzić — Pan zaprzeczasz — jakaż szkoda, że Go usłyszeć nie mogę.

Lecz pogódźmy się, a wspólna zgoda ułatwi nam bezstronne osądzenie przedmiotu.

I ja zgadzam się na to, że nazwa powyższa jest czemś więcej, niż czczym wyrazem jedynie. Coż, kiedy stawam wobec krytycznej zagadki, jakie pojęcie najwłaściwiej słowu temu nadać się powinno.

Wyobraźni mej przedstawia się cała masa przeróżnych pojęć, niejednokrotnie nawet bardzo poetycznym urokiem owianych; coż — kiedy po bliższem rozpatrzeniu się okazują się one jedynie tylko szumno brzmiącemi frazesami.

Posłuchaj Pan tylko: podobno prawdziwa kobiecość jest tym określić się niedającym wdziękiem i promieniem, który życie kobiety upiększa; wonią, która delikatny kwiat otacza i zdobi; tchnieniem wiosny, które, nie odsłaniając żaru południa, łagodnem nas ciepłem obdziela.

Brzmi pięknie, nieprawdaż? niestety!... b r z m i t y l k o!

Powabem kobiety jest łagodność, a najpiękniejszą ozdobą: k o b i e c o ś ć: Coż pan na to powiesz? ozdoba — powab — są to rzeczy nader piękne, często jednakowoż... z b y t e c z n e! A więc i to zdanie najmniejszej nie posiada logiki: Ludzie z poetycznem usposobieniem — zwłaszcza młodzież — czerpie broń z przeciwnego obozu, i posługując się słowami poetki, mówi:

O! kobieto, ktoż cię zdoła
Z tych ułudnych wyrwać sideł:
Lepiej, lepiej od anioła
Promienistych pożycz skrzydeł;
Inna ciebie przyszłość czeka,
W górę jasnem wzbij się czołem!
Chcesz się dobić praw człowieka,
Ty, co możesz być aniołem!

Coż! — kiedy oponenci twierdzą, iż wobec całego szeregu rozanielonych i uskrzydlonych kobiet konieczna proza życiowa na ostatni plan usuniętąby została, a prawdziwej kobiecości następujące podają znamiona nieomylnej w ich mniemaniu wiary:

Pończochę robić, bieliznę mężowską wyprasować, słudze każdy kawałek cukru odmierzyć, umieć przyrządzić rybę i ptaka, wołowe, skopowe i cielęce nóżki, o niczem podniosłem i doskonałem nie mówić, wobec pana męża głowę chylić i staropolskim zwyczajem skromnie, ze czcią na drugi plan się usuwać — otoż to jest tą prawdziwą, na zagładę przez obałamucone umysły skazaną kobiecością.

Nie zdołam zamilczeć, iż, widząc Pańską kucharkę, trzymającą parę na rzeź przeznaczonych kurcząt, mocno związanych, z pochylonemi na dół głowami, byłam gotową odsądzić od cnoty kobiecości wszystkie bez wyjątku rusałki kuchenne.

Podług waszego zaś mniemania, jeśli młoda dziewczyna wszystkim tym wymaganiom odpowiadać zwykła, (naturalnie ma się rozumieć, iż obok piękności i majątek jeszcze posiadać powinna,) najzupełniej godną jest liczyć się w poczet młodych mężatek, posiadających wszelkie warunki niezbędne do uszczęśliwienia jego mężowskiej mości.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ibrang - Hoihsthohl.

(Z kartek szukającego ideałów.)

(Skreślił **W. M.**)

(Ciąg dalszy.)

VIII.

Czy miałaś, nadobna czytelniczko, korzyść i przyjemność spotkania się kiedykolwiek sam na sam w lesie o północy ze zgłodniałym wilkołakiem?

Zapewne że nie — bo w przeciwnym razie nie miałabyś już prawdopodobnie korzyści i przyjemności czytania niniejszej historyi o wujaszku Edwardzie. A jednak — szczerze powiedziawszy — szkoda, że się tak nie stało. W przypadku bowiem szczęśliwego uniknięcia zagłady byłabyś miała pojęcie, jak mile wyglądają owe dwie pałające źrenice, świecące jak dwa karbunkuły w gęstych ciemnicach nocy. Zbierający niniejsze zapiski oszczędziłby ci opisu wrażenia, jakiego doznał wujaszek pod wpływem wzroku, którym go przeszywał Ibrang - Hoihsthohl.

* * *

Edward nie mógł już oderwać oczu od czarnego sarkofagu. Zdało mu się, że z chwilą, kiedy straci odwagę mierzenia się z fosforycznym wzrokiem strasznego trupielca, czeka go zagłada natychmiastowa; miał on uczucie pogromcy, trzymającego oczyma bestyą dziką na uwięzi.

Jedna sekunda osłabnięcia — jedno drgnięcie powiek — a przerażający letargnik rzuci się na niego, ogarnie długiemi, pajęczemi członkami — wyssie krew z arteryi i mózg z pod czerepa. Wujaszek twarz przekrzywił kurczowo w potworną larwę, a w oczy przelał całą siłę woli, przerażenia, strachu szalonego, rodzącego rozpaczliwy heroizm.

A źrenice żywego niebożczyka przeszywały go nieubłaganie, jak dwie wyostrzone igły. Była to para ogników nieruchomych, a mieniących się w niebieskawo-zielonych barwach. Wyraz tych szeroko rozwartych gałek ocznych był zimny, okrutny — na dnie wzroku owego czychała jakaś bezecna, piekielna zasadzka i zdrada.

Rzecz straszna! Malowała się tam i nieopisana ironia — szyderstwo nędzarza nad nędzarzem....

I trwało to ciche pasowanie się chwilę długą — długą, jak ostatnie chwile prowadzonego na rusztowanie. A przez czas ten nieskończony wuj Edward dostatecznie mógł się nasycić widokiem maski z piekieł Dantejskich, co szczerzyła na niego oczy i zęby z dna czarnego sarkofagu. Każdy rys najmniejszy maski tej przeklętej niezatarcie wrył się we wyobraźnię i pamięć Edwarda.

Niepojętym sposobem Edward znał te rysy oddawna — dobrze — dokładnie.... ani wątpić o tem... nic mu w nich nie było obcem, nieznanem. To czoło wysokie i szerokie nadmiernie, świecące trupią białością — te usta murzyńskie, wyrzucone — nos krótki, bez rysunku i charakteru — wysadzone kości policzkowe — twarz cała, ku brodzie coraz to węższa, trójkątna — wszystkie te fatalne szczegóły wujaszek widział już gdzieś... niegdyś... ale i w przybliżeniu nie mógł sobie teraz zdać sprawy gdzie i kiedy? Tamten ktoś był prawdopodobnie żyjącem ludzkiem stworzeniem — tutaj miał Edward przed sobą strzygę obrzydłą, zmarłą, z żywemi oczyma — ale z rysami twarzy tamtego człowieka.....

* * *

Wuj Edward nie mógł dłużej już wytrzymać grozy milczenia tego, połączonego z walką zaciekłą na siłę wzroku. Głosem przeraźliwym, urywanym, zawołał:

„Czemu na mnie patrzysz?..... cóż patrzysz na mnie, larwo piekielna!.... Nie patrz już na mnie, ty, przeklęty Ibrang-Hoihsthohlu!..... “

* * *

„To ja, Walenty.....“ odezwał się głos spokojny, głęboki, basowy, aczkolwiek nieco przyćmiony zbyt częstem przepłukiwaniem gardła właściciela głosu. Przed zbudzonym ze snu strasznego stał cny „majordomus“ alias „hausknecht“ Walenty, świecąc olbrzymią latarnią wprost we wujaszkowe oczy.

„Gdzie też to wielmożny pan się położył? Ola Boga.... gdzie to wielmożny pan śpi?..... powtarzał poczciwiec z widocznem zakłopotaniem — a następnie dodał poważnie, sentencyonalnie:

„Pójdę przynieść wody.“

Widocznie cny Walenty przypuszczał, że najlepszym środkiem na anomalny nocleg i sen wujaszka byłaby czysta woda — wypróbowana tyle razy w gardle i na głowie jego własnej. Majordomus posądził wujaszka o gusta podobne do własnych „spiritualnych“ gustów i czuł dla niego niekłamaną sympatyą.

Tymczasem Edward zwolna przychodził do zupełnej przytomności, do świadomości samego siebie i miejsca, w którem się znajdował. Cały ów sen okropny przedstawiał mu się, jak mara jakaś złowroga, przepowiedź czegoś, co go w rzeczywistości czekać miało.

Wszystko to było tak wyraziste — przejmujące — owa maszkara, szczerząca gałki oczne z otchłani sarkofagu tak żywo wryła mu się w pamięć — tak wiernie przypominała znane mu jakieś rysy — że wujaszek ciągle jeszcze pozostawał pod wrażeniem przebytej zgrozy i pełnemi piersiami oddychał, że to już szczęśliwie minęło. Machinalnie powtarzał po raz dziesiąty dwa wyrazy, wyczytane na trumnie: „Ibrang-Hoihsthohl.“ Co to mogło znaczyć?

Alić znów zabłysło miłe światełko olbrzymiej latarni i sążnisty Walenty ukazał się na nowo, dźwigając sążnistą konewkę wody.

„Niech wielmożny pan się jeno dobrze napije, to wszystko minie. A możeby wielmożny pan zlał też troszkę głowę?“

Tu postawił konewkę na ziemi. Woda ta byłaby wystarczyła do zalania stu gardzieł i gruntownego skropienia stu rozpalonych mózgownic.

Wujaszek powoli podźwignął się z twardego legowiska. Zimno było trzaskające — tylko niezmierzona obfitość materyału, zawartego w kraciatej chustce Walentowej, zbawiła go szczęśliwie od zagłady przez zamrożenie. A tutaj stawiają mu ceber lodowatej wody i proszą, aby zechciał pić i zlewać głowę.

„Mój kochany Walenty, lepiej zrobicie, jeżeli sami uraczycie się wodą i postaracie mi się o klucz, abym mógł wnijść do mieszkania. Leżałem tutaj, bo nie mogłem dostać się do siebie, a wyjść też już z kamienicy ani w lewo, ani w prawo nie byłem w stanie.“

Cnemu majordomusowi poczęło w głowie błyskać światełko zrozumienia sytuacyi.

„Adyć rychtyk... to wielmożny pan budził nas dziś

bodejnie w nocy. Człek śpi twardo, jak kamień... to jeno mi coś jakby bez sen się ćmiło, że wielmożny pan nas budził. Ola Boga, nie mógł to wielmożny pan doczekać rana u nas w izbie? Albobym był poszedł do drugiej kamienicy szukać klucza... pewnikiem będzie u służącej...."

„No, mniejsza już o to. Rano się już zrobiło. Ja tu zaczekam w sieni, a wy idźcie do Rózi i przynieście mi klucz. Pamiętajcie tylko — żeby nikt a nikt nie wiedział, że tu nocowałem w sieni."

Walenty spojrzał podejrzliwie na wujaszka.

„No, to się wie — to się wie..." powtórzył z ferworem i pobiegł po klucze — a w duchu myślał sobie: „Pewnikiem musiało tam sobie panisko zalać kulę — a teraz się wstydzi i wody pić nie chce."

Wkrótce wszystko kleić się poczęło jak najlepiej. Klucz się znalazł u Rózi, którą Walenty naturalnie sumiennie wtajemniczył w „upicie się pana" i ciekawy jego nocleg — prosząc jednak, aby nikomu nic o tem nie mówiła.

„No, to się wie — to się wie..." powtórzyła Rózia z ferworem i natychmiast pobiegła powiedzieć kucharce.

Kucharka tajemnicę objawiła pod zaklęciami srogiemi starej Michałce; Michałka wyspowiadała się z niej pod przysięgą stolarzowi ze sklepu — a stolarz rzecz obwieścił przy śniadaniu na tajnej naradzie familijnej.

Do ósmej z rana obie kamienice, t. j. nr. 19 ulicy W. i nr. 2 ulicy S. wiedziały już dokładnie, że pan Edward „spił się, jak bela" i nocował w sieni w chustce Walentowej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wiadomości literackie, naukowe, artystyczne, i rozmaitości.

Nakładem drukarni „Kuryera poznańskiego" wyszła książeczka p. t. „Nowenna: Pamiętaj, o! królowo od serca Jezusowego." Przekład z 14-go wydania francuzkiego. (Poznań, 1889). Książeczka, w mowie będąca, zawiera najpierw przedmowę p. n. Ufność, w której Autor (bezimienny) zaleca wszystkim cierpiącym mieć nadzieję we wszelkich przeciwnościach i potrzebach w Matce Najśw., pośredniczce wszystkich spraw trudnych, zrozpaczonych, pocieszycielce smutnych! Niektore ustępy tej przedmowy zawierają myśli rzeczywiście głębokie, podniosłe, zdolne rozbudzić nadzieję i ufność w pomoc onej miłosiernej „ucieczki grzeszników" i „pocieszycielki strapionych." Między innemi czytamy: „Najśw. dziewica, która pocieszała u stóp krzyża serce Boga, przejęte cierpieniem, czy nie potrafiłaby pocieszyć i ukoić twego biednego, ziemskiego serca? — Ta, która pocieszała Stwórcę-Boga, aniołów i ludzi — czy nie miałaby znaleźć żadnego pocieszenia dla ciebie, dziecka Boga? — Ta, która odświeżyła pociechą tyle złamanych serc — czyż zlitowaćby się nie miała nad twojem? — Ta, którą Jezus dał ci za matkę, która cię kocha tak czule i której władza tak wielka w niebie, odmówićby miała pomocy, kiedy do Niej wołasz w potrzebie i cierpieniu?" — Następuje potem „Modlitwa" do królowej serca Jezusowego, a dalej właściwa nowenna czyli zbiór modlitw, rozłożonych na dziewięć dni. — Książeczka zawiera jeszcze „Litanię" do królowej serca Jezusowego i dwa artykuliki, obejmujące: „Obowiązki bractwa" i „Pożytki duchowne bractwa." — Tłomaczenie „Nowenny" jest poprawne i staranne pod względem jasności zwrotów i czystości języka. Razi jedynie powtarzające się we wszystkich modlitwach, a szczególniej w litanii wyrażenie: „Królowo od serca Jezusowego." Dla czego ten germanizm? — Mówimy wprawdzie: klucz od szafy, ale nie możemy mówić n. p. syn od brata, córka od siostry, a tem samem prawem: królowa od serca; — mówi się: syn brata, córka siostry, królowa serca.

„Nowennę" nabyć można w drukarni „Kuryera poznańskiego."

W Warszawie z dniem 1 października r. b. zaczyna wychodzić pismo p. t. „Encyklopedya humoru", które składać się będzie z 60 do 70 zeszytów, objętości dwóch arkuszy druku. Prenumerata u nas wynosi 18 mr., a cena pojedyńczego numeru 40 fen. Zeszyty ukazywać się mają w tygodniowych odstępach. Prospekt zapowiada, że redakcya zbierać będzie najcenniejsze zabytki humoru ludzkiego wszystkich czasów i narodów — najwięcej miejsca zajmie humorystyka ojczysta.

Władysław Wiślicki, profesor śpiewu zbiorowego przy warszawskiem „Towarzystwie muzycznem", wydał bardzo użyteczną dla nauczycielek i nauczycieli śpiewu książkę p. t. „Podręcznik do wykładu początkowych zasad muzyki dla osób, kształcących się w nauce śpiewu zbiorowego." (Warszawa 1890 r.) Jest to wyborny, prosty i systematycznie ułożony podręcznik, a jasność i zwięzłość najcenniejszemi są jego zaletami. Za jego pomocą może uczeń w krótkim czasie poznać nóty i takt, gamy i interwale nietylko w teoryi, ale i w zastosowaniu. Przykłady analizy taktowej i podane jej wzory są bardzo dobre i użyteczne tem bardziej, że w szkołach fortepianowych brak ich zazwyczaj zupełnie. Treść głównych rozdziałów jest następująca: Alfabet muzyczny, pięciolinia, linie dodane, klucze, znaki przygodne, wartość nut, pauzy, punkt, łącznik i fermata; o trójkach, szóstkach i innych grupach nut, o takcie, o rytmie — gamy, odległość tempo — wyrażenia włoskie, używane w muzyce: mordent, grupetta, tryl; znaki powtórzenia, akord i rozpoznanie tonacyi.

Wojciech Gerson w swoich artykułach, zamieszczanych w „Echu muzycznem" p. n. „Malarstwo i rzeźba na wystawie paryzkiej", do najznakomitszych malarzy tegoczesnych francuzkich zalicza Benjamina Constant, w którego obrazach schodzą się wszystkie zalety szkoły francuzkiej. B. Constant, twórca znanych z reprodukcyi: „Bachanalii", „Abla", opłakiwanego przez rodziców, „Amor i Psyche," lotnych postaci dziecięcych, „Kobiety, stojącej nad wodą" — wykończył w ostatnim czasie trzy wielkich rozmiarów obrazy: jeden z nich przedstawia „Harem wyrznięty," drugi także z życia muzułmańskiego wschodu, „Haremową niewiastę." ciemno-oliwną, siedzącą w pozie wyprostowanej — snać na wezwanie wszechwładnego pana. Trzeci jest to dekoracyjny, do nowej sorbony przeznaczony obraz, w jasnych barwach, przedstawiający w środkowym przedziale uczonych współczesnych w togach doktorskich — w skrajnych filozofów starożytnych. — Kolosalne te postacie tchną życiem. O dwóch wschodnich obrazach pisze W. Gerson: „Obadwa w jednakim przyćmionym kolorze pięknym i soczystym, rozjaśnionym złotawemi promieniami światła, przedzierającego się z pomiędzy makat, przysłaniających okna. Urok tego malowania szczególny, a pociągający prawdą i pięknem form, których poprawności nic zarzucić nie można. Duszne, gorące powietrze ciemnego wschodu bije z tych malowideł."

W Paryżu między innemi odbył się także „kongres hypnotyczny", na którym z Polaków znajdował się jedyny dr. Kożuchowski z Kaliskiego. Obrady były bardzo zajmujące, a różnice zdań i zapatrywań ścierały się bezustannie. W końcu kongres wyraził życzenie, aby utworzoną została katedra hypnotyzmu przy fakultetach medycznych.

Impressario Abbey zaangażował podobno Pabla de Sarasate i Eugeniusza d'Alberta w Stanach-zjednoczonych za sumę 600,000 franków z podjęciem nadto wszelkich kosztów.

Rubinstein ukończył 5 i 6 część swego oratoryum: „Mojżesz" i posłał je już swemu nakładcy w Lipsku; wkrót-

ce spodziewa się wykończyć dwie ostatnie części. Nadto napisał „Concert-Stück“ na fortepian z orkiestrą (op. 113), będący obecnie pod prasą.

Dnia 18 listopada r. b. upłynie 50 lat od wystawienia pierwszej opery Józefa Verdi'ego: „Oberto“; municypalność przeto m. Genewy ku uczczeniu jubileuszu *maestra* otworzy nową instytucyą muzyczną pod jego imieniem, oraz ofiaruje zakomitemu Jubilatowi złoty medal z odpowiednim napisem. Chór z 500 głosów, któremu towarzyszyć będą cztery orkiestry, wykona wyjątki z oper Verdi'ego; wieczorem młodzież urządzi koncert z pochodniami.

Pisma francuzkie z żalem i współczuciem wspominają o zmarłej w ostatnim czasie marszałkowej Canrobert, kobiecie wyższego umysłu serca, gorliwej patryotce, wzorowej żonie, matce i obywatelce. Pochodziła ona ze szkockiej rodziny i jako piękna panna Flora Mac Donald była honorową damą cesarzowej Eugenii. Opowiadają, że gdy w tym czasie marszałek Canrobert wrócił na czele zwycięzkiej armii z wojny krymskiej, spotkali się przyszli małżonkowie po raz pierwszy na balu w Tuileryach. P. Flora, znana równie z piękności, jak z dumy i powagi, składając hołd opromienionemu rycerską aureolą marszałkowi, zbliżyła się pierwsza do niego — i poprosiła do tańca. Ale zwycięzki wódz nie umiał tańczyć, zawstydzony przeto zwrócił się do swego adjutanta, aby go zastąpił, a chyląc czoło przed piękną dziewicą, rzekł jej: „Marszałek Francyi zazdrości w tej chwili podporucznikowi.“ Zamienione przytem spojrzenia wniknęły obojgu do duszy, a za pośrednictwem cesarzowej znajomość zakończyła się szczęśliwem małżeństwem. Jako mężatka i matka dzieci, pani marszałkowa usunęła się od zgiełku i wrzawy dworu, oddana wyłącznie obowiązkom domowego ogniska, którego była błogosławieństwem i ozdobą. Wolne od wyższych, obowiązkowych zajęć chwile wypełniała muzyką i malarstwem.

Królowa włoska Małgorzata dostała od Edissona w upominku fonograf. Wdzięczna za dar użyła go, przesełając za jego pomocą znajdującemu się na wystawie sławnemu wynalazcy następujące oświadczenie: „Kobiety wszystkich krajów winne są panu wielką wdzięczność za to, żeś im dał możność słyszenia głosu ukochanych a dalekich osób.“

Dwie literatki otrzymały nagrodę od akademii francuzkiej: p. Marya Drousart za dzieło krytyczne i p. Varesco, córka posła rumuńskiego przy dworze belgijskim, za tom poezyi p. n. „Chants d' Aurore.“

Włoszka, Giusepina Cattani, mianowana zeszłego roku profesorem patologii na uniwersytecie w Bolonii, miewa licznych słuchaczów na swych prelekcyach, między innymi 300 akademików słucha jej wykładów.

Promyki.

(Zebrała A. Z.)

Przyroda wznosi mędrca do podziwu, młodego podnieca, jak wino; marzyciela duszę rozkoszą poi, napełnia zachwytem; ale dla duszy zbuntowanej i pustego serca nie ma uroku — jest zamkniętą księgą.

Wśród snów i rojeń lepiej samemu się obudzić, niż czekać, by ludzie brutalnie nas zbudzili.

Marya Rodziewiczówna.

Ludzi niespokojnego ducha i niestałego umysłu nudzi wszystko, nudzi nawet szczęście, jeśli zbyt spokojnie płynie.

Z powieści „Czarny świat.“

Szczęśliwa stokroć dusza mężna, która się nie da pokonać cierpieniu, ani nie poddaje się słodkim wrażeniom, które potem trzeba okupywać zawodem, żalem i ciężką tęsknotą.

Często pod łudzącą powłoką szlachetności ukrywa się samolubna dusza, umysł płaski, skrzywiony egoistycznem zajęciem się własną wyłącznie osobą i nizkie, niedające się okiełznać żądze.

M. E. Braddon.

HUMORYSTYCZNE.

(nadesłała J. D.)

Jeszcze ten raz. Restaurator. — Dwa piwa... zupa... mięso!... I znowu mam to zapisać? — tego już mi za wiele...

Dłużnik. — Zapisz pan tylko jeszcze ten raz — jutro już pójdę gdzieindziej.

Sprzeczka. Mąż. — Nie przypuszczałem, Milciu, abyś już w czasie poślubnej podróży zaczynała kłótnie.

Żona. — Przecież już jedziemy do domu.

Z zasady. Pani do żebraka. — Proszę tu więcej nie przychodzić; z zasady nic nie daję.

Żebrak. — O! bądź pani spokojną; ja z zasady chodzę tylko do domów porządnych.

Odznaczenie. Ojciec. — Jakże, Karolu, wypadł twój examin?

Syn. — Bardzo dobrze, tak, że na ogólne żądanie mam go za pół roku powtórzyć.

ŁAMIGŁÓWKA

(ułożyła Stella Kozłowska.)

ZGŁOSKI: a, ci, co, czy, deau, du, e, ia, jec, ka, ka, kob, kon, kwa, la, lar, le, le, le, mie, na, na, ne, ni, niec, o, oj, pa, pa, rek, row, ryał, sca, se, ski, su, świa, szu, ta, tar, tar, to, to, u, ur, wa, wid, za, za, zna.

Znaczenie wyrazów: 1. Miejscowość pozaświatowa mitologiczna. — 2. Jezioro w Ameryce — 3. Rzeka poboczna Wisły. — 4. Przyrząd astronomiczny. — 5. Imie. — 6. Znany generał rosyjski. — 7. Poeta polski. — 8. Miasto na Podolu. — 9. Drogie kamienie. — 10. Bożek słowiański. — 11. Poeta francuzki z XVIII wieku. — 12 Imie patryarchy. — 13. Wyznawcy prześladowanej obecnie religii. — 14. Postać mitologiczna. — 15. Zgromadzenie religijne. — 16. Ulubiony ptaszek. — 17. Kraj drogi każdemu.

Początkowe głoski, czytane z góry na dół, oznaczają znakomitego dowódzcę patryotę; końcowe, w tym samym czytane porządku, oznaczają dwie miejscowości, wsławione jego zwycięztwami.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.